

Konferencja: **Czym jest charyzmat założycielski END?**

O. Henri Caffarel

Skupmy się przez chwilę, bo to ważna sprawa. Chodzi o to, by spróbować zagłębić się w myśl Boga, więc pomódlmy się przez chwilę.

Temat mojej konferencji brzmi:

Czym jest charyzmat założycielski END?

Abyście mogli mnie zrozumieć, zacznę od przytoczenia pewnego wspomnienia: jakieś 20 lat temu odwiedziłem w Rzymie Komisję do spraw Zakonnych. Jest to instytucja, która kontroluje, doradza i prowadzi zakony i kongregacje w całym Kościele. Pewien duchowny z tej komisji powiedział mi: „Każdego roku mamy 700, 800, 1000 podań o pozwolenie na założenie nowego zakonu”. Byłem zaskoczony liczbą, a jego odpowiedź, niewątpliwie trochę mizogeniczna, brzmiała tak: „Prawdę mówiąc większość tych podań pochodzi od kobiet, one nie chcą być nowicjuszkami w jakimś starym zakonie, dlatego tworzą nowy, by stać się natychmiast „przełożoną generalną” - i dodał - są 3 kategorie tych podań:

- pierwsza grupa, która przedstawia motywacje i projekty zupełnie nie do przyjęcia, i te z góry odrzucamy,
- druga grupa, to ci co mają dobre projekty, bardzo budujące pomysły na utworzenia nowego zakonu; ich podania są badane i prawdopodobnie dostaną pozwolenie,
- trzecia grupa, to ta, co do której mamy przeczucie, że działa tu charyzmat założycielski, ale pokaże to dopiero przyszłość”.

Co należy rozumieć przez „charyzmat założycielski”? Coś zupełnie innego niż dobry pomysł - pomysł bardzo budujący. Tu chodzi o natchnienie Ducha Świętego, o pewien dynamizm, który będzie prowadzić daną instytucję przez cały okres jej rozwoju i pozwoli jej wypełnić swoją misję. Istnieją grupy, które początkowo posiadają charyzmat założycielski, ale z czasem podupadają; w historii Kościoła jest takich

wiele, a to dlatego, że ich następcy nie byli wystarczająco przywiązani poprzez modlitwę i refleksję do charyzmatu założycielskiego, co doprowadzało do upadku. Ten duchowny mówił dalej tak: „To dlatego Sobór tak nalega na kongregacje i zakony, by dokonywały agiornamento, tzn. by podjęły odnowę, odrodzenie wychodząc od refleksji, od badań potrzeb swoich członków, by odpowiedzieć na wymagania czasu i w perspektywie przyszłości”.

Tak więc są trzy elementy, które trzeba wziąć pod uwagę przy "agiornamento", jakiego dokonujecie po 40 latach. Powrócić do źródeł, ponieważ czasem źródło jest zasypane piaskiem, to źródło, które ja nazywam charyzmatem założycielskim. Są zakony, które w czasie swojego istnienia zbaczają na inne drogi, myślę tu np. o pewnym zakonie żeńskim, którego misją było nauczanie biednych dzieci, a który skończył na tym, że posiadał tylko pensjonaty dla elity społecznej. Oczywiście spośród elit jest więcej powołań niż wśród biednych dzieci, ale mamy tu właśnie przykład niewierności charyzmatowi założycielskiemu - dlatego trzeba **wracać do źródła**.

Po drugie: brać pod uwagę potrzeby i wartości czasu, w którym żyjemy. Każda epoka przynosi Kościołowi i społeczeństwu nowe wartości, zarówno pozytywne jak i negatywne, trzeba oczywiście brać pod uwagę wartości pozytywne, potrzeby jednostek. Trzeba sprawdzić, w jakim stopniu te wartości, które zamierza się przyjąć, zgadzają się z charyzmatem założycielskim. Zdarzyło się kilka lat temu, że kilku trapistów poprosiło swoich przełożonych o możliwość zostania księżmi-robotnikami. Przełożeni po konsultacji stwierdzili, że to nie wchodzi w ramy charyzmatu założycielskiego, co nie oznaczało, że gardzili oni księżmi-robotnikami, ale, że trapiści mają inne powołanie.

Powrócić do źródeł, zaakceptować potrzeby i wartości aktualne pod warunkiem, że są one do przyjęcia i przewidywać perspektywę na

przyszłość. Do jakiego kierunku rozwoju należy zachęcać Ruch, aby jednocześnie zachował więź z charyzmatem założycielskim? Ta **wierność charyzmatowi założycielskiemu** jest istotna, ale nie należy mylić wierności ze skostnieniem. Tak więc śmiem wierzyć dzisiaj, po 40 latach, że u początków Equipes Notre-Dame był charyzmat założycielski. Ale uwaga, nie uważam siebie za natchnionego, proroka ani świętego. Na początku nie podejrzewałem, jaka będzie przyszłość i nie mówiłem: „Duch Święty popchnął mnie, by to zrobić”. Dzisiaj, po 40-tu latach, widząc rozwój ekip myślę: w 1939 roku, z 4 pierwszymi małżeństwami, to było coś więcej niż tylko dobry pomysł, coś więcej niż entuzjazm; że to spotkanie nie było spotkaniem przypadkowym, że Opatrzność i Duch Święty miały tu coś do powiedzenia i Bogu za to dziękuję i jednocześnie zadaję sobie pytanie, o którym chcę Wam właśnie teraz powiedzieć.

Co zostało dobrze zrozumiane z charyzmatu założycielskiego przez te wszystkie lata? Co zostało **niezupełnie** zrozumiane przez te wszystkie lata? I czego nie można było zrozumieć, a co rozumiemy lepiej w obecnych okolicznościach?

Gdy zamierza się robić "aggiornamento", tak jak Wy teraz zamierzacie to robić - trzeba uszanować ważne prawo, zresztą nie tylko w tych momentach decydujących, ale w czasie całego rozwoju. Z jednej strony, osoby kierujące ruchem, jakimi Wy teraz jesteście, muszą być w bliskim **kontakcie** z bazą. To dlatego zresztą, kiedy jakiś zakon robi swoje "aggiornamento", to **konsultuje** wszystkich swoich członków, ponieważ często właśnie w bazie charyzmat założycielski zachowuje się w najczystszej formie.

Drugie prawo: trzeba jednocześnie przekazać bazie to, co „głowa” rozumie; to zawsze niebezpieczne, jeśli istnieje dystans pomiędzy głową i członkami. To jest bardzo trudny problem, który dostrzegłem w END. Był taki okres, kiedy co dwa tygodnie, czy też raz w miesiącu byłem w

kontakcie ze wszystkimi parami odpowiedzialnymi, ten kontakt był oczywiście bardzo bezpośredni, a potem powolutku powstała cała hierarchia i teraz znacznie trudniej nawiązać kontakt. Ale trzeba za wszelką cenę tego chcieć.

A więc po pierwsze:

Co wydaje się, że było dobrze dostrzeżone, dobrze zrozumiane i dobrze przyswojone z charyzmatu założycielskiego?

Nie mogę nie mówić Wam o początkach. To było ziarno pełne dynamizmu, który pociągnął za sobą RUCH. Pewnego dnia w marcu 1939 roku zamężna kobieta przyszła do mnie i spytała czy zgodziłbym się prowadzić ją w jej drodze duchowej. Oczywiście, zgodziłem się. Dwa tygodnie później spytała, czy mógłbym też przyjąć jej męża, zgodziłem się. A miesiąc później oboje spytali mnie, czy zgodziłbym się spotkać z trzema zaprzyjaźnionymi małżeństwami, które zastanawiają się jak rozwijać swoje życie chrześcijańskie. To były 4 małżeństwa, wszystkie poniżej 30 lat. Wahłem się, bo wcześniej miałem przykre doświadczenie. W pewnym opactwie towarzyszyłem grupie skautów i w czasie dyskusji zadali mi pytanie: „Czy ksiądz mógłby nam mówić o miłości?” Uzbrojony w znajomość psychologii scholastycznej powiedziałem im: „Kochać, to chcieć dobra dla drugiego”. Zaczęli krzyczeć: „Chcieć dobra! Przecież ksiądz nic nie rozumie!” I wycofałem się mówiąc: „Trzeba to trochę przemyśleć”. I czułem się upokorzony tą historią. Dlatego, gdy te małżeństwa przyszły do mnie w 1939 roku ze swoją propozycją zabrakło mi pewności siebie, ale w końcu zgodziłem się i poszedłem na spotkanie. Byli bardzo typowymi młodymi małżeństwami z tamtych lat, dokonali podwójnego pojednania. Po pierwsze, pojednania pomiędzy miłością i małżeństwem; znane zdanie powtarzane często w tamtym okresie to: *„Miłość to jest jedna rzecz, a małżeństwo to druga”*. Wydaje mi się, że napisał to Maurois lub Mauriac. A dla tych młodych małżeństw, prawie w komplecie byłych skautów, dokonało się pojednanie; „miłość i

małżeństwo” - to była jedna i ta sama rzecz. Nie mieli wcześniejszych historii miłosnych, ich pierwsza miłość, to był ich współmałżonek, ich małżeństwo było szczęśliwą miłością. I dokonali jeszcze drugiego pojednania: „Religia i miłość Chrystusa to jedno”. Nie wiem, czy potraficie sobie wyobrazić, co to oznaczało w tamtym czasie i kilka lat wcześniej, kiedy jeszcze byłem w szkole; nie mówiło się o miłości Bożej; we Francji byliśmy jeszcze bardzo pod wpływem Jansenizmu; wytykało się palcem każdego księdza, który mówił o miłości Boga. Ja miałem szczęście przestawać z ojcem duchowym, który mówił mi o miłości Chrystusa. Ale w tamtych czasach należało dokonać prawdziwego pojednania w środowisku katolickim i te cztery pary takiego pojednania dokonały.

Tak więc miałem przed sobą małżeństwa napełnione dwiema miłościami: miłością do współmałżonka i miłością do Chrystusa. Na pierwszy rzut oka można pomyśleć, że zarówno miłość małżeńska, jak i miłość do Chrystusa, są miłościami absolutnymi, całościowymi, nieprzejechanymi. Małżeństwa te przeżywały interesujące doświadczenie, a mianowicie, że te dwie miłości absolutne, jednoczą się doskonale w życiu duchowym. Nie rozumiejąc do końca, na czym polega ta jedność miłości do współmałżonka i do Chrystusa, bardzo pragnęli odkryć, w jaki sposób dążyć do świętości z tymi dwoma miłościami w sercu. W czasie pierwszego naszego spotkania bardzo radosnego, pełnego zamiarów, w tej wielkiej radości, jaka w nich była, by kochać się nawzajem i kochać Chrystusa, zadali mi 36 pytań i nagle opuścił mnie wszelki lęk, a nawet byłem zaskoczony, że poczułem się tak zadowolony. Szybko zrozumiałem dlaczego. Od 10, 15 lat żyłem w miłości do Chrystusa i stojąc przed tymi małżeństwami, które mówiły mi o swojej miłości odkrywałem, że w życiu małżeńskim istnieją te same prawa, które ja odkryłem w mojej relacji z Chrystusem - prawo miłości wszędzie jest takie samo. To mnie natychmiast „zdobyło” i zachwyciło, mogliśmy sobie nawzajem pomagać; oni mówili mi o swoim konkretnym życiu, które przeżywali, a ja o moim rozumieniu życia duchowego. Potem często myślałem, że gdybym nie

spotkał tych czterech par, ale odkrył małżeństwo poprzez konfesjonał, na pewno nie rozwinąłbym się w ten sam sposób. Poznałbym trudności natury moralnej, psychologicznej, miałbym wyobrażenie o związku pomiędzy mężczyzną i kobietą znacznie bardziej ponure. Na szczęście, zacząłem interesować się małżeństwem dzięki tym czterem parom.

Innym pomysłem było, od samego początku, poznać zamiary Boga co do pary ludzkiej jak i całą rzeczywistość małżeństwa. Myślę, że ujmujemy tu jeden z podstawowych elementów charyzmatu założycielskiego. Zrobiliśmy listę wszystkich elementów składających się na życie małżeństwa, rodziny i postanowiliśmy sobie, że będziemy szukać woli Bożej dotyczącej tych wszystkich elementów. Nie spodziewaliśmy się, że cztery miesiące później wybuchnie wojna, te cztery pary rozproszą się, a ja zostanę powołany do wojska.

Drugi kierunek: jedni i drudzy uważali, że ich powołaniem jest świętość. Świętość, która dla nich przedstawiała się jako rozkwit miłości, spełnienie miłości małżeńskiej i miłości Chrystusa. Ich dalsze przemyślenia doprowadziły do odkrycia sakramentu małżeństwa w zupełnie nowy sposób, nie jako formalności, ale jako źródła nadzwyczajnej łaski: Chrystus przychodzi zbawić chorą miłość, zatrutą przez grzech pierworodny, przynosząc jej ratunek i olbrzymie łaski.

Inna rzecz, która wydawała nam się bardzo istotna została wypowiedziana przez pewną kobietę w czasie modlitwy, jako że modliliśmy się dużo i spontanicznie w czasie każdego spotkania. Taka była potrzeba, a przede wszystkim potrzeba wychwalania Boga za to, co te pary przeżywały i odkrywały w zamiarach Bożych. Odkrywały one z zachwytem, jak wspaniały pomysł miał Bóg na miłość ludzką. I tak któregoś dnia pewna kobieta modliła się zwracając się do Boga tymi słowami: „*Panie, dziękujemy ci za połączenie naszych dwóch sakramentów: kapłaństwa i małżeństwa*”. Myślę, że ta refleksja poszła bardzo daleko i że stanowi

część dynamizmu naszych początków; przymierze kapłaństwa, który reprezentuje Kościół, myślenie Kościoła i małżeństw, które przynoszą swoje bogactwo, potrzeby, pytania i konieczność dialogu po to, by nauka Kościoła nie była oderwana od rzeczywistości, ale by umiała odpowiedzieć zarówno na potrzeby jak i na inspiracje pochodzące od małżeństw. I przez cały okres życia ekip bardzo ważne było dla nas połączenie tych dwóch sakramentów. Mieliśmy tylko cztery spotkania. Ale to wystarczyło do decyzji, co do mojego dalszego powołania. Byłem pełen entuzjazmu po tych spotkaniach. Gdy w lipcu 1940 roku wróciłem po trzech ucieczkach z rąk niemieckich, zostałem mianowany wikariuszem przy parafii i bardzo szybko spotkałem inne małżeństwa, z którymi podzieliłem się moimi doświadczeniami. Prosili mnie, by z nimi też się spotykać.

Tu klimat był zupełnie inny, była wojna, ograniczenia, cierpienie, pogróżki, czasem wizyta Gestapo u jednego czy też drugiego małżeństwa kończąca się zabraniem męża do obozu. Zachowaliśmy entuzjazm sprzed wojny, ponieważ zamiary Boga, co do małżeństwa były u podstaw tego entuzjazmu, a z drugiej strony zdaliśmy sobie sprawę z tego, że życie ludzkie nie jest drogą łatwą. Z dużą dozą woli i uporu staraliśmy się pogłębiać doktrynę dotyczącą małżeństwa. Myśl Kościoła w odniesieniu do wszystkich aspektów małżeństwa: zastanawialiśmy się jak żyć po chrześcijańsku w rzeczywistości małżeńskiej i rodzinnej. A potem poszerzyliśmy nasze pytanie: **jak wypełniać w stanie małżeńskim wszystkie wymagania życia chrześcijańskiego**. Szczególnie stało się dla nas oczywiste, że trzeba wypracować duchowość chrześcijanina żyjącego w małżeństwie, gdyż ówczesne nauczanie Kościoła, księży, wobec mężczyzn i kobiet, którzy chcieli się uświęcać, było duchowością wypracowaną przez zakonników i duchownych. Tak więc trzeba było odkryć coś nowego, by nie zostać w impasie, małżeństwa nie mogłyby daleko zajść na drodze do świętości, gdyby trzymały się duchowości mnicha. Tak więc, pierwsze pogłębienie w czasie okupacji, to pogłębienie doktryny z poczuciem, że nigdy nie zgłębimy w pełni zamysłów Bożych, co

do małżeństwa.

Drugie pogłębienie: pogłębienie przyjaźni, w tych momentach tak ciężkich, czasem dramatycznych, o których wcześniej wspomniałem. Zrozumieliśmy, że te spotkania małżeńskie nie miały służyć tylko pogłębianiu doktryny, ale miały też doprowadzać do **zawiazywania się przyjaźni** po to, by sobie nawzajem pomagać. I nagle te grupy małżeństw zrozumiały, że jednym z aspektów ich powołania jest **wzajemna pomoc**. Wzajemna pomoc i **modlitwa**. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy jeden z małżonków został zabrany przez Gestapo, natychmiast wszyscy zostali zawiadomieni o tym telefonicznie i zebraliśmy się w jego domu na całonocną modlitwę. Kobiety miały do dyspozycji fotele i łóżka, a my mężczyźni zostaliśmy na podłodze w salonie. Wymienialiśmy się przez całą noc na tym nocnym czuwaniu i mąż wrócił z deportacji. Ta potrzeba modlitwy była ogromna i od tego momentu nie mogłem wyobrazić sobie jakiegokolwiek spotkania ekipy bez **modlitwy**. Tak było między 1940 a 1945. Więźniowie, deportowani wrócili, niestety nie wszyscy! Nowe grupy powstawały, nastała taka moda, żeby przychodzić pogłębiać zamiary Boże, znajdować przyjaźń między ludźmi, a poza tym być może też przez snobizm.

Czułem zbliżające się niebezpieczeństwo osłabnięcia tych grup. Zamiast kierować się wysoko postawionym ideałem, zadowalali się czymś łatwym. To był moment przełomowy, długo zastanawiałem się i zadawałem sobie pytanie, jak to się dzieje, że zakonnicy podążają przez całe swe życie w kierunku świętości, bez upadków, bez zniechęcenia, bez rezygnacji i zrozumiałem, że to dlatego, że oni mają regułę. Podzieliłem się tymi myślami z innymi: *„Jeśli chcemy uniknąć załamania, łatwizny, to czy nie powinniśmy posiadać jakiejś reguły?”* I w 1945, 1946, 1947 myśleliśmy o **Karcie**. Mieliśmy świadomość, że jeśli ją wprowadzimy, to ryzykujemy utratę wielu małżeństw. Na 8 grudnia 1947 roku zwołaliśmy ogólne zebranie wszystkich par. Zebranie miało odbyć się w kościele Św.

Augustyna w Paryżu. Poszła plotka, że proponujemy im coś bardzo wymagającego i jedna trzecia w ogóle nie przyszła. To nas bardzo przejęło i zastanawialiśmy się, czy nasze ambicje nie były zbyt duże, ale ostatecznie w następnych latach okazało się, że przetrwały te grupy małżeństw, które zaakceptowały wymagania.

A potem była eksplozja, ekspansja nieoczekiwana na cztery strony świata. Potem były wielkie zgromadzenia, przede wszystkim w Lourdes i w Rzymie. Pamiętam, że w 1959 roku zadawaliśmy sobie pytanie: „Czy END są ruchem wprowadzającym do duchowości małżeńskiej i rodzinnej? Jeśli jest to ruch wprowadzający - to opuszcza się go po wtajemniczeniu, przecież dziecko nie zostaje całe życie w przedszkolu?” Czuliśmy niebezpieczeństwo dla END, że mogą stać się przedszkolem dla dorosłych. Czy może nasz ruch jest ruchem mającym na celu doskonałość? W Rzymie nasza odpowiedź brzmiała, iż trzeba, by ekipy były jednocześnie ruchem wtajemniczającym i doskonalącym. Łatwiej jest być ruchem wtajemniczającym, ruch doskonalący wymaga wymyślenia reguł dla swoich uczestników, by mogli stale postępować naprzód.

Czy trzeba podsumować elementy charyzmatu założycielskiego, tak jak się uwydatniły na przestrzeni lat?

Zrobię to, widzę ich siedem:

- Po pierwsze: małżeństwo jest dziełem Boga i arcydziełem Boga,
- Po drugie: małżeństwo ma duszę, tą duszą jest miłość, a zaniedbywać miłość to skazać małżeństwo,
- Po trzecie: mężczyźni i kobiety nie mogą być wierni miłości bez pomocy Chrystusa, dlatego ustanowił On sakrament małżeństwa i trzeba go pogłębiać.
- Po czwarte: chrześcijanie żyjący w małżeństwie są jak inni, jak zakonnicy, powołani do świętości. To było coś oryginalnego. To

było jeszcze przed Soborem, a potem Sobór bardzo naciskał na powołanie do świętości świeckich.

- Po piąte: życie małżeńskie jest bardzo bogate, ale też bardzo wymagające,
- Po szóste: jest konieczne i niezbędne, by wypracować duchowość małżeńską, która nie może być taka sama jak duchowość osoby bezżennej, czy zakonnej.
- Po siódme: nie można tego dokonać bez pomocy ruchu, który by ukierunkował myśl i nadawał ramy życiu.

Oto, co zostało dobrze zrozumiane w charyzmacie założycielskim, a teraz powiem wam, co nie było dobrze dostrzeżone:

- **Po pierwsze:** zachwycony tymi młodymi małżeństwami pełnymi miłości myślałem, że miłość będzie wielkim bodźcem do doskonalenia i że trzeba im powiedzieć: „bądźcie wierni miłości”. Nie pamiętałem, że Chrystus dał dwa środki, dla tych, którzy chcieli dążyć do doskonałości: miłość i wyrzeczenie się siebie. Bóg chce doskonałości chrześcijanina, doskonałości pary małżeńskiej. Bóg chce, by człowiek stał się doskonały, a jest to możliwe tylko dzięki wierności miłości i wyrzeczeniu się siebie samego, tzn. oddaniu siebie i zapomnieniu o sobie. Miłość i wyrzeczenie się siebie samego, to dwie strony tego samego medalu, nie ma miłości bez wyrzeczenia, a wyrzeczenie, które nie jest wyrzeczeniem z miłości, jest wyrzeczeniem niemożliwym do zrealizowania. I rozumiałem, że Bóg wymyślił małżeństwo jako wielki środek do rozwoju miłości i wielki środek ułatwiający wyrzeczenie się siebie. Zrozumiałem, że wyrzeczenie się siebie nie może być obok miłości; prawdziwe wyrzeczenie, to narzucić sobie, by nigdy nie przestać kochać, by żyć zawsze w postawie "dla Ciebie" i nigdy w postawie "dla mnie". Dla kroczenia po ziemskich drogach Bóg dał nam dwie nogi, abyśmy postępowali na drogach świętości Bóg dał nam dwa środki: miłość i wyrzeczenie. Zorientowałem się, że proponowałem parom skakanie na jednej nodze, ale w ten sposób daleko

dojść nie można, że trzeba kroczyć na dwóch nogach, stawiać jedną po drugiej. Ale nie wiem, czy END to dobrze przyswoiły. Małżeństwo - wielki środek miłości i wyrzeczenia, wielki środek wyrzeczenia, które umożliwia miłość.

Pamiętam taką historię: po jednej konferencji o duchowości małżeńskiej, podeszła do mnie kobieta, miała może 60 lat i powiedziała: *„Ojcze, jak bardzo dziękuje, ale, cóż! Znam to dobrze z własnego doświadczenia”*. Nachyliłem się: *„Powiem ojcu”*. Czekam na zwierzenia, robię się poważny: *„Ach, mogę wszystko ojcu opowiedzieć, otóż pułkownik, (gdy mówiła o swoim mężu, to był zawsze <pułkownik>, i tylko on jeden <pułkownik> istniał na ziemi); pułkownik, gdy pobraliśmy się, był już bardzo zaawansowany w życiu duchowym. Ach!, Mogę wszystko ojcu powiedzieć, on był w trzecim zakonie franciszkańskim, (i jej zwierzenia nie miały końca), on nosił włosiennicę, ale muszę dodać, że to mnie ona drapała.”* Miałem ochotę powiedzieć jej: *„Ależ on powinien był zrozumieć, że żyć z kobietą było wystarczające i nie potrzebował dodawać włosiennicy.”* Wstrzymałem się jednak od tej drobnej złośliwości.

Morał z tej historii: prawdziwy środek, by umrzeć dla samego siebie - bo istnieje ciągle ten stary egoizm nas zjadający - prawdziwy środek, to kochać i kochać od rana do wieczora i nigdy nie dać się pociągnąć temu „dla mnie” i zawsze zostać w postawie biednego. Pan Bóg wymyślił małżeństwo jako najlepszy środek do postępu w miłości i wyrzeczeniu. Zakonnicy mają inną drogę, małżonkowie mają tę.

- **Po drugie:** punkt, który nie był wystarczająco jasno widziany, to seksualność w małżeństwie. Nie była ona niedoceniana, a nawet te młode pary miały dużą łatwość mówienia o seksualności w sposób swobodny. Tym niemniej nie zgłębiliśmy tego tematu, nie pogłębiliśmy ludzkiego sensu seksualności i chrześcijańskiego sensu seksualności, nie pomogliśmy wystarczająco członkom END osiągnąć doskonałości ludzkiej w sferze seksualności i doskonałości chrześcijańskiej w sferze

seksualności. Czułem to tak mocno, że podczas planowania pielgrzymki do Rzymu w 1970 roku, gdy papież zapytał mnie, na jaki temat chcielibyśmy, by do nas mówił, zaproponowałem mu, by powiedział nam, jaki jest sens ludzki i chrześcijański seksualności. Przygotowaliśmy 30 stronicową notę na ten temat, którą przekazaliśmy Pawłowi VI, ale jego wysłannik odpowiedział nam tak: *„To nie jest jeszcze dojrzałe, nie mogę odpowiedzieć na wasze życzenie”*. I do pewnego stopnia nie żałowaliśmy, skierował do nas to wspaniałe przemówienie, które wszyscy dobrze znamy. Ale, by ułatwić pracę Pawłowi VI, rozpoczęliśmy wielką ankietę składającą się z około 150 pytań dotyczących życia seksualnego, prosząc każdego z członków ekip, by odpowiedział szczerze, a ja osobiście zaangażowałem się, aby dotrzymać całkowitej anonimowości. Dostaliśmy ponad 1000 odpowiedzi. Ponieważ papież wówczas zrezygnował z tego tematu, ankietę przeleżała wiele lat w szufladzie i dopiero rok temu do niej sięgnąłem mówiąc sobie, *„nie można jej zostawić uśpionej”*. Zacząłem ją przeglądać i do dziś przeglądnąłem już około 800 odpowiedzi, a każda z nich ma 20 do 50 stron. To nie jest mała praca, ale dla mnie stanowi to wielkie odkrycie. Nie byłem zupełnie naiwny - wiele par już mi się zwierzało na ten temat, ale na życie seksualne tej kategorii małżeństw z ekip miałem tylko ogólne spojrzenie. Wiele się nauczyłem. Jestem pod wrażeniem i mam nadzieję, że będę mógł podsumować tę pracę w formie książki, jeśli Bóg da mi taką możliwość.

Ogromne wrażenie wywarł na mnie fakt milczenia rodziców na ten temat - zaniedbanie dotyczące 95% ankiet. Odpowiedzcie mi na to, że ci, którzy brali udział w ankiecie w 1969 roku nie są tymi, którzy odpowiedzieliby na ankietę w 1987 roku. Nie jestem pewien, czy jest tak wielki postęp w tej dziedzinie. Tak więc, milczenie rodziców oznacza trudności dla większości dzieci, chłopców i dziewcząt, trudności i brak odwagi mówienia o tym, co oznacza poczucie winy, co oznacza często neurotyczne poczucie winy. Jestem pod wrażeniem tych niepokojów dziecięcych, tych świadomości zmałconych przez lata, co w dalszym ciągu oznacza: źle przeżyte

narzeczeństwo, narzeczeni nie wiedzą, jak mówią, „co wolno, a czego nie wolno”. Początek małżeństwa często katastroficzny, nie wyobrażałem sobie, że aż w takim stopniu. Oczywiście o tym się nie rozmawia. Harmonia seksualna bywa rzadko osiągnięta na początku, często trzeba było czekać 2, 3 lata, czasem 10 lub 15 lat a w przypadku wielu małżeństw w ogóle nie została osiągnięta. I ta ankieta pozwoliła mi zrozumieć, w jakim stopniu to wszystko jest istotne.

Ta ankieta wykazała również, w jakim stopniu chrześcijański sens życia seksualnego jest ignorowany wśród ekip. Tylko 2% uczestników ankiety odpowiada szeroko na pytanie: „Jaki jest chrześcijański sens seksualności? Jak po chrześcijańsku przeżywacie seksualność? ” Inna rzecz, która wyniknęła z ankiety, a teraz to się bardzo zmieniło, to że większość respondentów miała wielki respekt dla prawa kościelnego. Dochodzą do tego z trudem, często z dużą niecierpliwością i sprzeciwem, ale nie przykładają wagi do ludzkiej jakości stosunku seksualnego. Czytając, studiując, medytując te odpowiedzi zrozumiałem, że nie może być prawdziwej moralności seksualnej, jeśli nie było jakości życia seksualnego. I przyznaję, że ludzie Kościoła z tego punktu widzenia nie są wierni swojej misji. Głosi się moralność małżeństwa, mówi się, co wolno, a co jest zabronione, a nie proponuje się chrześcijaninowi żadnej książki. Taka książka nie istnieje, a jeśli istnieje, to proszę mi to przedstawić.

Wybaczcie wyrażenie, wyrażenie, którego dawniej nie znosiłem, jest trochę wulgarne, ale myślę, że ważne, na temat sposobu, jak dobrze się kochać w sensie aktu seksualnego i jak dobrze przeżywać ten akt seksualny. Tak więc małżeństwa chrześcijańskie, jak każde inne, przeżywają swoje relacje seksualne jak barbarzyńcy. Nie mam czasu wyjaśnić Wam jak od tamtego czasu zmienił się mój sposób widzenia dzięki zwierzeniom i dzięki poszukiwaniom, które prowadziłem z kilkoma małżeństwami. A teraz mówię wam o tym, jako o czymś, co do tej pory nie było robione, a jest niezbędne: trzeba absolutnie **prowadzić**

małżeństwa w kierunku ludzkiej i chrześcijańskiej perfekcji relacji seksualnej. Z pewnością zminimalizowałem też nauczanie Kościoła na temat grzechu pierworodnego.

- **Trzeci aspekt charyzmatu założycielskiego, który nie był wystarczająco zrozumiany,** ale wydaje mi się, że mógł stać się zrozumiały dopiero z biegiem lat, to **misja END.** END ma swoje powołanie - jest nim pomoc małżeństwom w dążeniu do świętości. END mają też swoją misję w Kościele, trzeba stale utrzymywać te dwa aspekty: powołanie i misja. Teraz, po 40 latach, rozumie się to lepiej. Ośmielam się powiedzieć coś, co może wydawać się zachętą do pychy, ale nią nie jest. Powstanie i rozwój END to wielki ewenement w Kościele. Przed 1939 rokiem nie było stowarzyszenia par małżeńskich, były liczne stowarzyszenia osób indywidualnych, ale nie było ich dla małżeństw. To było coś niezwykłego, nie mogło ich być, ponieważ małżeństwa nie miały tych doświadczeń, o których mówiliśmy. Podam przykład: z pierwszą grupą, którą prowadziłem postanowiliśmy odbyć rekolekcje. Ojców Jezuitów, którzy prowadzili dom rekolekcyjny zapytałem: *„Czy możemy odbyć u Was rekolekcje?”* - *“Oczywiście, (ale zaraz dodał), a czy są wśród was kobiety?”* *“Ależ tak”.* *„Retro satanas”* (*„odejść szatanie”* - przyp.tłumacza). Jezuici nigdy nie przyjęli żadnej kobiety w swoim domu. Idę do Panien z Wieczernika: *“Ale tam są mężczyźni? Wykluczone!”* Ta mała anegdotka pokazuje, że ruch był naprawdę nowy. I tu znajdujemy aspekt charyzmatu założycielskiego, którego ja nie doceniałem.

W Kościele widziano tylko jednostkę, tak, jakby szczytem stworzenia, tego wielkiego dzieła Bożego, jakim było stworzenie świata, punktem najwyższym, doskonałością dzieła Bożego była jednostka i zapomniano zupełnie słowa księgi Rodzaju: *“Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę..., a oni stają się jednym ciałem”.* Szczyt piramidy to nie jednostka, to para. To jest coś bardzo nowego i nasz ruch powinien był zmusić Kościół, by

zrewidował swoją antropologię i swój punkt widzenia. Św. Jan Chryzostom, nie był duszpasterzem END, a jednak napisał to mocne zdanie: *„Ten, kto nie zawarł małżeństwa, nie jest sam jeden, ale jest połową jednego!”* To bardzo dużo powiedziane. Mężczyzna i kobieta posiadają tę samą naturę ludzką, więc są sobie równi. Posiadają tę samą naturę ludzką, ale na różne sposoby. Tak więc, gdy się połączą, uzupełniają się tworząc całość, którą jest para. Para jest dziełem Bożym. Czułem to intuicyjnie przy czterech pierwszych małżeństwach, ale nie przeanalizowałem tego wówczas. Kładłem nacisk na miłość, małżeństwo, ale myślę, że w Kościele nie należy zadowalać się tylko mówieniem o małżeństwie i miłości, ale trzeba podkreślać parę małżeńską, szczególnie w czasach obecnych, gdy usiłuje się ignorować różnice płci. To, że pani Badinter, żona byłego ministra sprawiedliwości, napisała książkę zatytułowaną: *"Jeden jest drugim"*. JEST, tzn. mężczyzna i kobieta są wymienialni, to jest wielka katastrofa naszych czasów, kończącego się XX wieku. W rezultacie przez to, że seksualność została zbanalizowana, komplementarność jest niedoceniona i dochodzi do rozkładu społecznego; w ciągu 15 lat ilość małżeństw we Francji zmniejszyła się z ok. 450000 do 225000. Bądźmy więc ostrożni, w jaki sposób przedstawiamy END. Swego czasu mówiło się o ruchu domowym - tego słowa nie znoszę, potem o ruchu rodzinnym - to trochę mgliste; to jest ruch par małżeńskich. I to jest ważne stwierdzenie, które trzeba wnieść do Kościoła. Nie mam czasu opowiedzieć Wam sztuki Giraudoux zatytułowanej: *"Sodoma i Gomora"*.

Drugi aspekt misji END: przed powstaniem END, przed tym wielkim rewolucyjnym wydarzeniem nauczano: *„Jeśli chcesz być doskonały, zrezygnuj z małżeństwa i podejmij życie zakonne"*. Tak mi powiedział pewien ksiądz, kiedy odbywałem rekolekcje na zakończenie mojej nauki w szkole średniej, a ja, będąc naiwny, odpowiedziałem mu: *"Ależ, gdyby wszyscy księżdz słuchali, nie byłoby już ludzkości, wszyscy wstąpiliby do klasztoru, czy też poszli na księdza"*. W mojej naiwności 15 lat myślałem, że wszyscy chcą być doskonali. A co mówią na to END? Że można się

uświęcać w małżeństwie i przez małżeństwo. Nie będę się nad tym rozwodził, bo to wiecie. Ale jest to nowa koncepcja, mało znana w Kościele.

Trzecia "rewolucja", jeśli mogę tak powiedzieć: przed END - i jeszcze trwa to w Kościele - byliśmy wielkimi Manichejczykami: materia i ciało, są czymś, z czego trzeba się uwolnić. Byliśmy blisko myśli Platona: *"Ciało jest grobem duszy"*. Wraz z powstaniem END w Kościele zostało stwierdzone, że seksualność jest czynnikiem uświęcenia pod warunkiem, że jest odpowiedzialna i zewangelizowana, że przyjemność jest rzeczywistością świętą, zgodną z zamiarami Bożymi i nie powinna być uważana za podejrzaną, tak jak to było wcześniej. Co więcej, w całym życiu w świecie wartości naturalne nie są godne pogardy, trzeba je podejmować podobnie jak seksualność. Obecnie jest bardzo ważne, by zrozumieć to wszystko i uchronić seksualność od dramatu błahości i erotyzmu.

Czwarta "rewolucja": śpiewano w moim dzieciństwie: *"Mam tylko jedną duszę, którą trzeba zbawić"*. I świętość była sprawą indywidualną, nie uświęcało się dla drugiego. Drugi musiał sam szukać zbawienia! A END w Kościele mówią: Bóg chce, abyśmy sobie wzajemnie pomagali w drodze do świętości, samemu nie można się zbawić. Pomoc wzajemna między małżonkami i między małżeństwami to coś nowego.

Piąta "rewolucja": zauważcie, że używam słowa "rewolucja" z małym uśmieszkiem, nie twierdzę, że nic z tych rzeczy nie było zauważonych wcześniej, ale jednak to bardzo charakterystyczne. Dawniej świętość była często rozumiana jako: *"dbaj o swoje piękno duchowe"*. Ale gdy mówi się o świętości małżonków, przypominają się słowa Chrystusa: *"Drzewo będzie sądzone po swoich owocach"*, nie po piękności, ale po owocach. Gdy Bóg przedstawia nam tego, którego chce zrobić ojcem wszystkich świętych - Abrahama, pokazuje mu gwiazdy na niebie mówiąc: *"To jest*

Twoje potomstwo". "Twoja świętość, to będzie twoja płodność". To jest coś nowego w Kościele, nie chodzi o to, by kultywować swoją piękność, ale o to, by uczestniczyć w ewolucji stworzenia, która zmierza do swego celu. Myśl o ewolucji świata jest bardzo współczesna, podobnie jak potrzeba przyczyniania się do tej ewolucji świata. Małżeństwo pozwala to dobrze zrozumieć. Chodzi o przekazanie życia, a nie tylko o pielęgnowanie swojej doskonałości osobistej.

To jest tych pięć aspektów.

Żałuję jednej rzeczy, powiem wam, ale jednocześnie nie chcę nikogo oskarżać; żałuję, że END, w perspektywie własnej misji, nie prowadziły ośrodków przygotowania do małżeństwa. We Francji te ośrodki wyszły z END, ale bardzo często stały się mało chrześcijańskie. Nie myślę, że END powinny były kierować przygotowaniem do małżeństwa, ale myślę, że END powinny były mieć swoje centra przygotowywania do małżeństwa, które byłyby punktem odniesienia dla innych ośrodków, właśnie na podstawie duchowości, którą odkryły. I żałuję, druga rzecz, której żałuję, że doradcy życia małżeńskiego, którzy wywodzą się w dużej części z ekip, nie zostali uformowani i nie są podtrzymywani przez ekipy, i tak częściej powołują się na psychologię Freuda, niż na duchowość małżeńską i rodzinną. I tutaj również chciałbym, by END miały swoich doradców życia małżeńskiego, nie żeby miały monopol, ale by istniał punkt odniesienia zgodny z charyzmatem założycielskim ruchu. Czas ucieka i trzeba bym omówił ostatni punkt.

To, co nie mogło być dostrzeżone, mówiłem już o tym, co było dobrze widziane, co było gorzej widziane i co nie mogło być dostrzeżone jak tylko w aktualnych okolicznościach. Po pierwsze: obecnie trzeba zaczynać znacznie niżej. Jest ogromna ilość par, które się tworzą, a które nie miały prawdziwej katechezy i nie wiedzą wiele o życiu chrześcijańskim, które spełniają w bardzo małym stopniu wymagania życia chrześcijańskiego.

Obecnie znam ekipy, gdzie wysiłkiem jest, by wszyscy uczestniczyli w niedzielnej mszy świętej. Ten problem nie istniał 40 lat temu, jest to problem praktyki, a przede wszystkim formacji religijnej. Braki w katechezie tłumaczą fakt, że istnieją małżeństwa, które mimo niewystarczającej formacji chrześcijańskiej, pragną wstąpić do END, widziałem to już kiedyś dawno temu w Brazylii. Tam wprowadzono lata propedeutyczne, czas przygotowania do wstąpienia do END, trzeba coś zrobić. Nie mamy prawa zostawić tych małżeństw, które pod względem przygotowania religijnego, teoretycznego i praktycznego, pozostają bardzo w tyle, a tym niemniej chcą dołączyć do END.

Po drugie: to, co nie mogło być dostrzeżone dawniej, a co teraz lepiej rozumiemy: są małżeństwa należące do END od 10, 20, 30 lat, które chcą pójść jeszcze dalej w swoich poszukiwaniach. Znam ekipy, małżeństwa, które przychodzą spowiadać się do mnie od 40-tu lat i wspaniale jest obserwować ich rozwój. Jeśli dla niektórych trzeba zaczynać od niższego poziomu, to innym trzeba by pomóc wznosić się jeszcze wyżej. To nie jest łatwe, tak jak rola nauczyciela w klasie, który nie wie, czy prowadzić program dla uczniów na średnim poziomie, czy też ciągnąć do góry, by zadowolić tych najlepszych. Nie dam wam recepty, co trzeba zrobić, ale smuci mnie, gdy widzę małżeństwa, które po latach są rozczarowane END. To prawda, że w tej samej ekipie są małżeństwa, które w ogóle nie dokonały żadnego postępu i inne, które rozwinęły się i mają wielkie potrzeby duchowe - jak na to zaradzicie? Nie wiem, ale nie można pozostawić na lodzie tych, którzy chcą iść dalej. Podkreślam ten problem, ale nie mam na razie wyrobionego własnego zdania. Niektóre z tych par dążących do życia bardziej świętego czują pokusę w kierunku wspólnot, w których mogłyby dołączyć do ludzi bezzennych, zakonników czy księży. Od 50 lat widzę małżeństwa, które czują pokusę stworzenia wspólnot małżeńskich, od 50-ciu lat nie widziałem żadnej takiej wspólnoty, która by się utrzymała. Zastanawiałem się, czy jest w tym jakiś znak i wiem, że inni też zadają sobie to pytanie. Nie mam odpowiedzi absolutnej, ale

stwierdzam jedną rzecz: mianowicie, że małżeństwo ma tę solidną i spójną rzeczywistość, o której już wcześniej wspominałem. Wspólnota małżeństw ryzykuje rozmycie się w innej, szerszej wspólnocie szczególnie, jeśli ta ostatnia jest bardzo wymagająca i jednocześnie prowadzi życie wspólnotowe. Takie jest moje doświadczenie. W pewnym sensie para jest za bardzo i za mało wspierana, kobieta i mężczyzna są pozbawieni częściowo odpowiedzialności. Nie wiem, czy nie dotykamy tu wielkiego prawa - małżeństwo jest związkiem, wspólnotą, którą przede wszystkim trzeba chronić, które jest autonomiczne; natomiast ruchy małżeńskie, pod warunkiem, że odpowiadają na swoje powołanie, mogą stanowić dla małżeństw żyjących w świecie coś, co będzie je wzmacniać. W END nie dochodzi do rozmycia, do utraty odpowiedzialności. A więc, co robić? Wracamy do tego, co mówiłem przed chwilą, znaczy to być może: co robić dla tych, którzy mają większe wymagania duchowe, aby im pomóc w ramach END, aby nie szukali innej pomocy.

Czwarty problem, którego nie można było przewidzieć 50 lat temu: mnożenie się metod i sposobów antykoncepcji. Tu zaszła przerażająca zmiana w END, dawniej większość małżeństw starała się, respektować prawo Boże, obecnie wiele małżeństw w END stosuje antykoncepcję i to mnie bardzo martwi. Nie mam czasu teraz rozwijać tego tematu. Oni stosują antykoncepcję, ponieważ tak jak powiedziałem wcześniej, nie nauczono małżeństw dobrze rozumieć wartości relacji seksualnych i dla nich moralność jest nie do zaakceptowania. Gdy jednostka narusza prawo Pańskie, mówi się, że traci stan łaski. Gdy w jakimś ruchu jest duża część, nie wiem 20%, 40%, 70%, nie wiem; gdy w jakimś ruchu jest duża część, która nie zna, która nie chce słuchać o prawie Pańskim, taki ruch ryzykuje utratę swojego stanu łaski i taki ruch ryzykuje osunięcie w kierunku dekadencji i perwersji.

Piąty i ostatni punkt: coś, co nie było wystarczająco dobrze widziane na początku, bo nie mogło być, ale teraz jest. Proszę bardzo - pomóżcie małżeństwom END dobrze się starzeć, by dobrze umierać i dobrze

przeżywać wdowieństwo. Znam dużo tych przyjaciół z pierwszych lat ruchu, którzy ciągle są w END. Trzeba im pomagać dążyć do świętości w ich starości. Starość ma wiele atutów w dążeniu do miłości Bożej. Czy wszystko zostało wystarczająco zrobione? Nie wiem, za mało czytałem waszych publikacji. Pomóżcie małżeństwom dobrze umierać i pomóżcie też Założycielowi dobrze umrzeć! Starość i śmierć. Ale przed starością i śmiercią jest emerytura. Zastanawiam się, czy w END robi się wystarczająco dużo, by zrozumieć chrześcijański sens emerytury, tego czasu życia, który jest bardzo ważny. Nie zatrzymuję się nad tym dłużej.

I jeszcze dramat bezrobocia: czy END pozwala odkryć chrześcijański sposób przeżywania bezrobocia? To wszystko nie mogło być dostrzeżone 40 lat temu, a teraz z tym się borykamy.

Na zakończenie chcę Wam przeczytać piękny tekst odnoszący się do ostatniej sprawy, opublikowałem go kiedyś w „Anneau d'or”.

"Pewien staruszek zaczął redagować historię swojego małżeństwa, by zostawić ją następnym pokoleniom. Zanim skończył pierwszy rozdział, poświęcony narzeczeństwu, napisał takie post scriptum do tegoż rozdziału: "Powinienem tu zakończyć rozdział, ale dopiszę jeszcze kilka stron, nie byłyby one potrzebne gdybym miał pewność, że uda mi się skończyć pisać historię mojego życia, ale zuchwałością byłoby uważać, że zostało mi wystarczająco dużo czasu do skończenia tego, co sobie zamierzyłem. Mam 77 lat. Ponieważ dziś jeszcze mogę, a jutro może to już będzie dla mnie niemożliwe, chcę na ostatnich stronach tego pierwszego rozdziału złożyć należne świadectwo mojej ukochanej Suzanne. O 8 lat młodsza ode mnie, ona mnie przeżyje. Oby mogła przeczytać z radością, gdy mnie już nie będzie, co o niej myślę w bliskości śmierci: ona uczyniła moje życie szczęśliwym, po 45 latach wspólnego pożycia kocham ją jeszcze bardziej niż wtedy, gdy po raz pierwszy otworzyła dla mnie swoje ramiona. Moja czułość stała się jednocześnie mniej namiętna i bardziej głęboka, jeszcze nie wszystko zostało

powiedziane między nami; spokojne pocałunki, uściski bez namiętności, budzą wspomnienia dawnych wiosen, ale przede wszystkim nasze dusze splatają się w tej samej wierze i nadziei. Gdy zbliża się szósty lipca, jest mi równie przyjemnie powiedzieć z głębi mojego serca to prorocze "Tak", jak zakonnikowi zadowolonemu ze swojego powołania odnawiać swoje śluby. Nie byłoby tak, gdyby Suzanne nie spełniała dzielnie, a czasem nawet z heroizmem swojej roli żony i matki. Moje upodobania intelektualne, nieudolność w zarabianiu pieniędzy, niechęć do życia światowego, pasja do książek i z pewnością jeszcze wiele innych moich cech, o których nawet nie wiem, mogły ją irytować, ranić. Ponieważ chcę wyrazić tylko absolutną prawdę, nie chcę stwierdzić, że nigdy to ją nie bolało; że nigdy nie wyraziła z tego powodu pretensji, albo że widok przykrości, którą wbrew sobie jej czynilem, nigdy mnie samego nie bolał. Ale ona nieodmiennie zachowywała dla mnie, jak błękit nieba nad chmurami, pragnienie, by moje życie uczynić miłym i wrażliwym na czułość jej serca. Dała mi sześcioro dzieci. Gdy byliśmy oddzieleni, codziennie pisała do mnie listy, okazywała, nie oczekując wzajemności, pomimo wszelkich ataków przychodzących z zewnątrz i pomimo moich wad, swój szacunek dodający otuchy, ma dla mnie zawsze w zanadru uśmiech. Robiła to wszystko pomimo, iż w jej życiu dni choroby, niesprawności fizycznej, bólu i cierpienia duchowego były równie liczne jak dni wypełnione zdrowiem i spokojem. Opuszczę tę ziemię z przekonaniem, że tak długo jak ona mnie przeżyje, nie przestanie się modlić prosząc, by niebo otworzyło swoje wrota dla mojej duszy. Niech Bóg ją błogosławi i jej wynagrodzi, a jej potomkowie niech szanują jej pamięć".

Jak nie pragnąć, by tak było dla wszystkich małżeństw, którym pomagamy? Nie chcę robić podsumowania - zostawiam to Wam. Moją rolą było tylko dać wam świadectwo i zaprosić, byście zostali wierni charyzmatowi założycielskiemu i byście byli kreatywni w tej wierności. Chciałbym na zakończenie podkreślić pewną zbieżność: tak się składa, że

obchodzicie 40 lat karty END w roku, który Ojciec Święty ogłosił Rokiem Maryjnym. Wiecie, że Rok Maryjny rozpocznie się w Zielone Świątki i skończy na Wniebowzięcie NMP w przyszłym roku. Widzę w tym wskazówkę opatrnościową, ponieważ wiara w Maryję, w jej miłość, w jej wstawiennictwo była obecna od początków END i zresztą, dlatego taka jest nazwa tego ruchu. Nie jest to przypadek, dlatego bardziej, niż kiedykolwiek zapraszam Was do odnowienia zaufania do Marii Dziewicy, która pokieruje dalszymi losami ekip.

Ecce fiat

Spotkanie europejskich par odpowiedzialnych regionalnych

Chantilly, niedziela 3 maja 1987